

PPN

45

sierpień 1980

Polskie Porozumienie Niepodległościowe powstało i działa w kraju od roku 1976. Program PPN ogłoszony został w maju 1976 r. PPN posiada za granicą mężów zaufania, gwarantujących autentyczność publikacji. Są nimi: Maria Winowska /Paryż/, Gustaw Herling-Grudziński /Wapol/, prof. Leszek Kołakowski /Oksford/ i prof. Jerzy Lerski /San Francisco/.

Polskie Porozumienie Niepodległościowe ogłasza:

- oświadczenia programowe,
- opracowania zbiorowe Zespołów Problemowych,
- Poradnik Społeczny,
- prace indywidualne wyrażające poglądy ich autorów.

Publikacje PPN są anonimowe lub podpisywane pseudonimami.

Europejska Wspólnota Narodów, w ciągu wielu lat ignorowana lub wyśmiewana przez propagandę komunistyczną, mimo różnych trudności rozwija się tak dobrze, iż przyciąga coraz to nowych członków z odległych krańców kontynentu... Ten zespół państw, który ze względu na specyfikę gospodarczą jest dla nas najpoważniejszym partnerem handlowym, jest również naszym naturalnym ideowym sprzymierzeńcem. ... Możliwie najściślejsze związki ze Wspólnotą będą dla nas najlepszą gwarancją nieodnowienia się konfliktu z Niemcami.

/ z pktu 16 Programu PPN/

Stosunkowi Polski do Europy a także naszym poglądom na rolę Wspólnoty Europejskiej i jej przyszłe perspektywy, poświęciliśmy tekst nr 36. Świadomi, jak nikła jest w Polsce wiedza na temat współczesnej myśli europejskiej i powstania wspólnego Rynku oraz innych ponadnarodowych organizacji, wiążących coraz liczniejszymi niemi kraje Europy zachodniej i południowej - poświęcamy obecny tekst postaci Jean Monneta, zwanego ojcem dzisiejszej Wspólnoty Europejskiej.

Jean Monnet

Po ukazaniu się w 1976 roku "Pamiętników" Jean Monneta jeden z recenzentów pisał: "Miejsce, jakie zajmie Jean Monnet w historii zależy od tego, co stanie się w przyszłości. Jeżeli powstanie naprawdę zjednoczona Europa, Monnet zostanie uznany za równego twórcę narodów, za równego Cavourowi czy Bismarckowi. Jeżeli, jak to się wydaje możliwe, siły odśrodkowe ukażą się nazbyt silne i dojdzie do rządów jakiejś autorytarnej tyranii i powszechnego zubożenia, jego głos będzie co najwyżej pamiętany jako głos proroka wołającego na puszczy". Tak czy inaczej postać, działalność i "Pamiętniki" Jean Monneta są niezwykle pouczające, zaś lekcja, którą tam możemy znaleźć, jest dwójaka. Dotyczy idei zjednoczonej Europy i dotyczy polityki, tego, czym jest polityka i jak skutecznie uprawiać działalność polityczną.

Jean Monnet urodził się w 1888 roku w Cognac we Francji, a zmarł dziewięćdziesiąt lat później w swoim domu pod Paryżem. Miejsce urodzenia i rodzina - zamożna rodzina kupców i producentów koniaku - decydująco wpłynęły

1987 K 443/2

na losy Monneta. Ten prowincjusz, przedstawiciel narodu tak bardzo nielubiącego ópnych, ten samouk /Monnet na własne życzenie przerwał naukę szkolną mając szesnaście lat i wstąpił do rodzinnego interesu/ w wieku dwudziestu sześciu lat znał już dobrze całą niemal zachodnią półkulę, mówił biegle po angielsku i niemiecku i dzięki rodzinnym powiązaniom z premierem Francji Vivianin w latach 1914-1918 pełnił wysokie funkcje w stworzonym przez Ententę zarządzie transportu morskiego. Odtąd Monnet, z kilkuletnią przerwą na uporządkowanie rodzinnych spraw finansowych, będzie się przez sześćdziesiąt lat zajmował sprawami współpracy europejskiej.

Pełnił więc, między innymi, funkcję asystenta sekretarza Ligi Narodów, w 1940 roku był autorem projektu całkowitej unii francusko-angielskiej, projektu życzliwie przyjętego przez Churchilla. Potem zaś zajmował się wojenną współpracą anglo-amerykańską, a po wojnie stał się faktycznym autorem sławnego planu Schumana, planu, od którego rozpoczął się wciąż trwający rozwój Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. W pierwszym okresie Wspólnoty był szefem jej biur, by potem poświęcić się kierowaniu Komitetem Działania na rzecz Stanów Zjednoczonych Europy. W 1975 roku zrezygnował z tego stanowiska i rozpoczął pisanie pamiętników. Jak wielokrotnie podkreślano był w dwudziestym wieku najwybitniejszym politykiem zachodnim, który nigdy nie zajmował żadnego stanowiska politycznego, to znaczy pochodzącego z wyboru i nigdy nie włączył się do walki partyjnej. Nie chciał być i nie był szarą eminencją, nigdy nie związał się na stałe z żadnym politykiem, działał w cieniu, ponieważ sądził, że w ten sposób działa bardziej skutecznie.

X

Idea zjednoczonej Europy była, zdaniem Monneta, nie tylko praktycznie słuszna, ale także uzasadniona względami teoretycznymi. Ten przeciwnik wszelkiego teoretyzowania w polityce wierzył w szczególną misję Europy, misję, której dalszej realizacji miało służyć przejście od fazy państw narodowych do fazy stanów zjednoczonych Europy. Monnet uważał, że państwa narodowe stanowią w dwudziestym wieku w Europie przeżytek i dzieje obu wojen światowych potwierdzały, w jego przekonaniu, ten pogląd. Europa unieszczona między dwoma kolosami, między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim musi, powiadał, wybrać niezależność, jeżeli chce zachować swoją cywilizacyjną tożsamość. Zaś Europa w dwudziestym wieku może być niezależna tylko jako zjednoczona i powiązana ze Stanami Zjednoczonymi.

Monnet nie lubił rozważań nad konkretnym kształtem organizacyjnym przyszłej Europy. Sama zasada jednoczenia wydawała się oczywista: stopniowe zrzekanie się przez państwa narodowe części ich suwerenności na rzecz suwerennej władzy europejskiej. Czy ostatecznym wynikiem będzie raczej konfederacja - unia państw i rządów, czy federacja - unia społeczeństw - odnawiał odpowiedzi na takie pytania. Proces jednoczenia będzie realny, jeżeli będzie mu towarzyszyło przesunięcie części państwowej suwerenności na poziom ponad-państwowy, ponad-narodowy. Z tego właśnie względu Monnet był bardzo krytyczny wobec idei i praktyki Organizacji Narodów Zjednoczonych. Trafnie, jak to dzisiaj dobrze widzimy, sądził, że jest to organizacja pozorna, ponieważ państwa do niej należące nie zrzekły się na jej rzecz żadnej części swojej suwerenności.

Owa naczelna zasada jednoczenia się Europy była związana z ogólną zasadą rozwiązywania problemów na gruncie międzynarodowym. Monnet powtarzał wielokrotnie, że jeżeli przystępuje się do rozmów z zamiarem powiększenia korzyści własnego państwa, to ich rezultat będzie zawsze wątpliwy. Wszyscy uczestnicy pertraktacji powinni myśleć o tym, jakie wyjście zapewni najlepszą realizację wspólnego interesu. Bo przecież, powiada Monnet, takie wyjście jest zawsze możliwe. I nie jest to, jego zdaniem, naiwny postulat uczciwości i dobrej woli, lecz racjonalny postulat optymalizacji korzyści wszystkich zainteresowanych stron. Jeżeli rozmowy nie są prowadzone w tym duchu, to ich wynik będzie zawsze nietrwały. Strona, która wyjdzie na nich gorzej będzie czekała na moment osłabienia przeciwnika i wzmocnienia sił własnych, aby wymusić zmianę niedawno ustalonego porozumienia i tak bez końca.

"Pamiętniki" Monneta są także niezwykle interesujące z tego właśnie

punktu widzenia: jak rozmawiać, jak zmierzać do kolejnych celów, jak wpływać na polityków, skłaniając ich do działania w pożądanym kierunku. Można sformułować kilka dyrektyw, których Monnet, przeciwny wszelkiemu teoretyzowaniu, sam zresztą nie podaje.

Przede wszystkim: rządzący są z natury swojej sytuacji konserwatywni. Darenne więc jest nakłanianie ich do zasadniczych zmian ich polityki, do poważnych reform, w spokojnych czasach. Na zmiany i reformy gotowi są pójść tylko w okresach kryzysowych. Z tego jednak wynika, że w spokojnych czasach trzeba przygotowywać projekty zmian i reform, tak aby je móc podsunąć politykom w odpowiednio dramatycznym momencie. Zauważmy, że Robert Schuman zdecydował się przyjąć plan Monneta, który potem stał się sławnym planem Schumana, w sytuacji bardzo trudnej: wiedzano, że trzeba jakoś rozwiązać problem niemiecki i to rozwiązać szybko, a nie wiedzano jak. Dwa lata wcześniej podobne zamysły Monneta nie miały żadnych szans.

Po drugie, nie należy planować rozwiązań zamierzonych na dziesięciolecia, należy natomiast możliwie szybko przekształcać doraźne sukcesy grupy ludzi zebranych dla wykonania określonego zadania w formy instytucjonalne. "Nic nie jest możliwe bez ludzi - jak pisze Monnet - ale nic nie jest trwałe bez instytucji". Statut i zasady działania instytucji powinny być możliwie dokładnie określone. Od tego bowiem w znacznie większym stopniu niż od mniej lub bardziej pięknych celów zależy skuteczność ich działania.

Po trzecie, skuteczność politycznego działania ludzi, którzy nie należą do grupy rządzących, ale pragną wywierać wpływ na politykę, zależy od tego, czy potrafią stworzyć sieć związków zaufania. Polityka w wizji Monneta jest skrajnie odmienna niż była zapewne w wizji Talleyranda. Nie znaczy to by Monnet był naiwny, odmienny jest po prostu zasadniczy cel: nie zwycięstwo w międzynarodowej rywalizacji, lecz zaciśnięcie międzynarodowej współpracy w dobrze pojmowanym interesie własnym państw narodowych, który w naszych czasach stał się równoznaczny z ich interesem wspólnym.

Po czwarte, uniejętność zachowania tajemnicy. Nie dlatego, żeby przedsięwzięcia polityczne miały dyskrecjonalny charakter, lecz właśnie dlatego, żeby nie naruszać cudzego zaufania. Monnet, który sądził, że Liga Narodów miała szansę na większe sukcesy niż osiągnęła rzeczywiście, powiadał, że jednym ze źródeł jej niepowodzenia stała się publiczna niemal wiedza o najdrobniejszych sporach personalnych i animozjach. Instytucja, która tak działa, nie jest zbudowana na wzajemnym zaufaniu, więc nie może być skuteczna.

Po piąte wreszcie, pamiętać o tym, że dopóki się działa, dopóty zawsze istnieją okazje do działania w pożądanym kierunku i że wszystkie okazje należy wykorzystać. Wizja Europy Monneta zasadniczo różniła się od analogicznej wizji de Gaulle'a, a stosunki między nimi były zresztą zawsze napięte, chociaż pełne wzajemnego szacunku. Monnet chciał Europy federacyjnej, zbliżonej do Stanów Zjednoczonych, de Gaulle - Europy państw narodowych konkurującej ze Stanami Zjednoczonymi; Monnet gotów był zrezygnować z jakichś szczególnych ambicji Francji, de Gaulle sądził, że Europa powinna zorganizować się pod francuskim przywództwem. A jednak, kiedy de Gaulle zaczął głosić swoje wizje Europy, Monnet dostrzegł w tym okazję dla posunięcia naprzód swoich planów i okazję tę wykorzystał. Nie odrzucił jej ani się nie obraził, że go nie proszono o radę, ani też nie przeciwdziałał de Gaulle'owi.

"Pamiętniki" Monneta stwarzają wrażenie, jakby polityka toczyła się poza personaliami, poza ambicjami i sporami osobistymi. Monnet o wszystkich niezliczonych wybitnych politykach, z którymi się zetknął, pisze dobrze. I tym razem, jak można sądzić, nie jest to naiwność ani dobroduszny idealizm, lecz metoda. Działać i myśleć o polityce, tak jakby to była sprawa konkretnych zadań i celów, a nie ludzi, ich słabości i upodobań. Nie wiadomo, czy takie stanowisko przynosi lepsze owoce niż spiskowo-personalna koncepcja polityki, ale na pewno jest zarówno bardziej eleganckie jak i bardziej moralne, co przecież nie jest bez znaczenia.

"Wspomnienia" otwiera rozdział poświęcony planom pełnej unii francusko-brytyjskiej w 1940 roku. Potem autor wraca do okresu dzieciństwa i młodości.

/.../ Wierzyłem wówczas ciągle, że tak niezbędnej działalności nie sposób porzucić i bynajmniej nie myślałem, by była ona niesłychanym, pozabawionym perspektyw pomysłem, jak to później uznano. Była ona jedynie odpowiedzią na okoliczności bez precedensu. Jeżeli coś natomiast było niesłychane, to fakt, że wróg był za naszym progiem. Mogłem sobie wyobrazić, jak zajmuje Cognac. Połączenia obu krajów i współobywatelstwa ich mieszkańców, którzy musieli oto sprostać wspólnemu niebezpieczeństwu, nie wyobrażałem sobie w duchu romantycznej mrzonki. Nie wyznawałem również żadnej koncepcji teoretycznej i nie wiązałem tego projektu z żadnymi zamysłami federalistycznymi. Chociaż zawierał on zarys trwałego układu instytucjonalnego, nie myślałem i nie miałem czasu myśleć w tak abstrakcyjnych kategoriach. Powodowała mnie tylko konieczność znalezienia rozwiązania groźnej, konkretnej sytuacji. Co więcej, czyż mogłem przewidywać, że pewnego dnia w podobnej sytuacji powołane do życia zostaną podobne rozwiązania, które jednak wykracza daleko poza zasadę kooperacji. Ale stałe zajmowanie się sprawami państwowymi nie stanowiło mego powołania i dotychczasowy kierunek moich zainteresowań bynajmniej nie predysponował mnie do patrzenia na problemy międzynarodowe z punktu widzenia narodowej suwerenności. Tak czy owak, jedno było pewne: zetknąłem się z tymi problemami w niejednej dramatycznej sytuacji i było dla mnie jasne, że stanowiły one przeszkodę w porozumieniu się ludzi, w ich współdziałaniu, oraz w rozwoju społecznym.

Podczas gdy leciałem do Londynu by przekonać Churchilla, że unia jest jeszcze możliwa, ponieważ państwo francuskie skłania się ku oporowi, duch ustępliwości paraliżował już w Bordeaux szanse projektu. Nasze pokolenie przeszło więc tuż obok śmiałej decyzji, która mogła zmienić bieg wojny i wskutek tego nastawienie umysłów. "One Parliament, one Cabinet, one Army" - ta zaskakująca wizja sformułowana przez Horace Wilsona, miała na długo okazać się nierealną. Dlatego sądzę, patrząc dzisiaj wstecz, że te dni czerwcowe 1940 roku silnie oddziaływały na moją koncepcję międzynarodowego współdziałania. Zbyt wiele razy miałem okazję przyglądać się ograniczeniom metody koordynacji. Jest to metoda dyskusyjna, ale nie podejmowania decyzji. Nie pozwala na przeobrażenie stosunków pomiędzy ludźmi i pomiędzy krajami. Stanowi wyraz systemu władzy narodowej w jego aktualnej postaci; nie może go zmienić i nie może doprowadzić do zjednoczenia. Zaczynałem rozumieć, że próba jedności, nawet gdyby była ograniczona do realnych problemów jak produkcja, uzbrojenie, transport, poza i ponad strefą decyzji administracyjnej a angażowałaby również siłą rzeczy całą wiedzę polityczną krajów podejmujących wspólną walkę. Kiedy narodom grozi to samo niebezpieczeństwo, nie traktuje się rozdzielnie różnych dziedzin życia mających wpływ na ich losy.

Niedostatecznie skorzystałem z tej lekcji, jakiej udzieliła poprzednia wojna, potem dzieje Ligi Narodów i z jakiej nie mieliśmy czasu wyciągnąć wniosków, żeby odeprzeć pierwszy atak Niemców. Postanowiłem więc dobrze o niej pamiętać, kiedy tylko nadarzy się znowu okazja podjęcia wspólnych wysiłków. Okazją do działania nie brakowało mi w życiu nigdy. Problem natomiast polega na tym by być do niego przygotowanym. To wymaga przekonania będącego wynikiem długotrwałej refleksji. I kiedy nadchodzi właściwa chwila, wszystko staje się dla mnie proste, ponieważ presja sytuacji nie pozwala na wahania. A przynajmniej ja sam tak już jestem skonstruowany albo tak zostałem uformowany w środowisku rodzinnym w Cognac, gdzie urodziłem się 9 listopada 1888 roku /.../ /s. 37-39/.

Uwagi poniższe wypowiada Monnet przy okazji opisu współpracy w ramach Ententy w latach 1914-1918.

/.../ Związki przyjacielskie ogrywały bardzo dużą rolę we wszystkich moich przedsięwzięciach. A jednak one nie tłumaczą wszystkiego, a raczej je same należy wytłumaczyć. Wspólna praca, walka o wspólne cele two-

rzą i umacniają wzajemne zaufanie. W przyjaźni, która mnie nigdy nie zawiodła, upatruję skutek, nie zaś przyczynę wspólnego działania. Przyczynę stanowi przede wszystkim stosunek zaufania. Zaufanie pojawia się w sposób naturalny między ludźmi, którzy przyjęli wspólne stanowisko wobec danego problemu. Kiedy zaś problem staje się dla wszystkich ten sam i kiedy wszyscy są jednako zainteresowani w znalezieniu rozwiązania, różnice i podejrzania znikają ustępując miejsca przyjaźni. Cóż jednak czynić - w sytuacji pogłębiających się podziałów między ludźmi i narodami - by patrzono na problem z tej samej perspektywy oraz by stało się oczywiste, że istnieje wspólny interes. Oto, co pozostało mi do odkrycia. Współpraca, która powstała podczas wojny i którą w czasie pokoju staraliśmy się utrzymać dla pokoju, mogła z dnia na dzień zostać rozwiązana. Społko nas niebezpieczeństwo, zwycięstwo miało rozproszyć. Związki powstały przeciwko wrogowi, jakżeby miały teraz się otworzyć na przyjęcie zwyciężonych. Przyjaźnie tu już nie wystarczały, a brakowało niebezpieczeństwa zmuszającego do współpracy. Jakże instytucje, jakie prawa międzynarodowe miały teraz sprostać nowym koniecznościom?/.../ /s. 103-104/.

Mowa będzie o przygotowaniach do powołania Ligi Narodów.

/.../Było dla nas jasne, że sekretariat Ligi Narodów musiał przygotować i zrealizować porozumienie punkt po punkcie, w każdym szczególe, i z uwzględnieniem sytuacji tak różnych jak wyznaczenie granic czy powstrzymanie epidemii zagrażających kontynentowi. Należało więc wprowadzić w ruch różnoraki, a zarazem elastyczny sytem badań, studiów, interwencji. Ponieważ jednak planowana organizacja nie miała posiadać władzy wykonawczej, musiała odznaczać się władzą perswazji. Tak rozpocząłem budować sobie filozofię działania, której pierwsze zasady naszkicowałem w końcu maja, w memorandum noszącym już znamiona zarówno zamysłów jak i ograniczeń metody, która miała stopniowo doprowadzić mnie do koncepcji Wspólnoty:

"Współdziałanie narodów będzie wynikiem pogłębionej wzajemnej znajomości oraz wzajemnego przenikania się we wszystkich ważnych dziedzinach.

Ważne jest więc, by rządy i narody poznały się lepiej, tak by mogły spojrzeć na pojawiające się problemy nie z punktu widzenia własnego interesu, lecz w świetle interesu ogólnego. Egoizm ludzi i narodów ma źródło najczęściej w niedoskonałej znajomości problemu, na który każdy odruchowo reaguje motywowany własnym bezpośrednim interesem.

Kiedy interes własny, w naturalny sposób manifestujący się w takich warunkach, natknie się nie na inny, sprzeczny z nim interes, lecz na ujęcie problemu w jego całości, punkty widzenia stron zainteresowanych niewątpliwie dopasują się do siebie nawzajem i pozwolą znaleźć sprawiedliwe rozwiązanie. Stanie się to tym łatwiejsze, że obie strony będą wiedziały, iż ich dyskusja jest przedmiotem zainteresowania i oceny innych rządów i narodów"./.../ /s.112-113/.

Mowa jest o sytuacji w roku 1950, kiedy to kanclerz Adenauer przedstawił propozycję pełnej unii między Francją a Niemcami.

/.../ W grucie rzeczy zgadzam się z poglądem Adenauera. Powiadał on, że: "niewątpliwie, gdyby Francuzi i Niemcy zasiedli pewnego dnia przy tym samym stole, w tym samym budynku, aby wspólnie pracować i podejmować wspólne działania, dokonany zostałby wielki krok naprzód. Skutki psychologiczne byłyby bardzo istotne. Zostałaby zaspokojona francuska potrzeba bezpieczeństwa i uniemożliwiony rozwój niemieckiego nacjonalizmu". Problem był więc jasno postawiony, lecz brakowało sposobu jego rozwiązania. Krok naprzód mogło spowodować dopiero wynalezienie metody działania. Wiedziałem już, że działanie nie może wynikać z ogólnych sformułowań, z niezbyt klarownych wyobrażeń i że wszystko staje się możliwe, jeżeli potrafimy skoncentrować się na konkretnym zadaniu, z którego wynikają następne. Usiąść przy wspólnym stole - oto właściwy kierunek, ale tylko kierunek. Podejmować wspólne zadania - oto cel, ale dopóki mówiło się o nim nie rozważając

środków, poprzestawało się na mówieniu. Idea Adenauera miała jednak pewne konkretne uzasadnienie: Zagłębie Ruhry, Zagłębie Saary, to znaczy współzawodnictwo w produkcji węgla i stali, które chciał on znieść przez dosłowne zjednoczenie Francji i Niemców. Idea unii całkowitej, natychmiastowej, a powołanej w celu przeciwdziałania szczególnej trudności nie świadczyła o realistycznym podejściu do zagadnienia. Przeciwnie, myślałem raczej, że należy rozpocząć od prób rozwiązywania trudności poszczególnych, by w ten sposób zbliżyć się do rozwiązania zasadniczego. Unia stopniowo stawałaby się realna w wyniku dokonanych z rozmachem konkretnych rozwiązań. Powinny więc one dotyczyć tych właśnie problemów, które budziły najwięcej kotrowersji.

Zrozumiałe, że w 1950 roku Adenauer próbował odsunąć konkretne problemy stawiane przez Francję w związku ze statutem Saary, było także zrozumiałe, że Schuman upierał się przy polityce kontroli Niemiec, jedynej polityce, jaką popierała większość we francuskim parlamencie. Obaj działali zgodnie z logiką pełnionych przez siebie funkcji. Rządzący naszymi państwami muszą, tak obecnie jak i dawniej, bronić pewnej koncepcji interesu narodowego wynikającej z rozlicznych presji, wśród których najpoważniejsze są zarazem najbardziej zachowawcze. Jeżeli nawet sami mają szersze horyzonty, to zbyt trudne, a najczęściej niemożliwe jest zmienienie istniejącego stanu rzeczy, stanem rzeczy, którym mają dobrze administrować. Jako osoby prywatne mogą pragnąć najrozmaitszych zmian, lecz muszą zdawać ze wszystkiego sprawę przed parlamentami, przed opinią publiczną, a działalność ich hamują dodatkowo urzędnicy, którzy zawsze pragną zachować status quo. Wszystko to jest całkowicie naturalne. Gdyby rządy i władze administracyjne były gotowe ciągle coś zmieniać, prowadziłoby to do nieustannej rewolucji, do ciągłego bezładu. Wiedziakiem z doświadczenia, że zmiana może przyjść tylko z zewnątrz, pod wpływem konieczności, chociaż niekoniecznie w wyniku działania przemocy. Możowi stanowiąc, działać skutecznie i stawiając przede wszystkim starają się unikać kłopotów, ale nie zawsze odczuwają potrzebę i mają czas na uruchomienie wyobraźni. Są jednak otwarci na twórcze inicjatywy i jeśli umie się im takowe odpowiednio przedstawić, ma się znaczne szanse na to, by zostać wysłuchanym.

Nie dziwiłem się zatem, kiedy słyszałem jak Robert Schuman mówi: "Trzeba ba myśleć o przesunięciu władzy suwerennej na poziom ponadnarodowy, ale to nie jest sprawa jutra". Odpowiadał Adenauerowi, który oferował Europie suwerenność, jakiej jego własny kraj jeszcze nie odzyskał. Mało ważne, czy postawy te były szczere czy nie, nie prowadziły one przecież do żadnego konkretnego działania. Zaś de Gaulle włączył się ze swoją wspaniałą retoryką jak koryfeusz greckiej tragedii: "Jeżeli nie będziemy patrzyli na rzeczy chłodnym okiem, to może nas zaślepić wizja tego, czego to nie mogłyby dokonać zdolności niemieckie zjednoczone ze zdolnościami francuskimi, a także z wartościami wzniesionymi przez francuskie kolonie... W gruncie rzeczy byłby to powrót - tym razem na nowoczesnych podstawach ekonomicznych, strategicznych i kulturalnych - do przedsięwzięcia Karola Wielkiego". Jeżeli należało patrzeć na rzeczy chłodno i odrzucić marzenia o Europie "karolińskiej" i całkowicie zintegrowanej, to czy z tego wynikało, że należało zaniechać wszelkich usiłowań? Stan Europy zwiększał zagrożenia świata ponownie wkraczającego w niebezpieczne czasy: zimna wojna stwarzała klimat niebezpieczny dla setek milionów ludzi. Stosunki między Francją a Niemcami nie mogły już być rozważane ani w trybie ogólników ani w duchu fatalizmu. Byłem przekonany, że nadszedł czas na działanie. /.../ /s.412-414/.

Jest to dalszy ciąg rozważań z poprzedniego fragmentu.

/.../ Niewątpliwie właśnie wtedy w związku z tym konkretnym problemem zdałem sobie sprawę ze znacznych możliwości, które tkwiły w metodzie działania znanej mi od dawna i stosowanej przeze mnie w najrozmaitszych sytuacjach. Zrozumiałem, że często nie warto zaczynać od trudności, które nie istnieją same przez się, a są tylko wynikiem okoliczności. Jedynie zmieniając okoliczności można doprowadzić do zmiany sytuacji, którą te okoliczności spowodowały. Zamiast zużywać siły na walczenie z tym, co sta-

wiało opór, nauczyłem się poszukiwać tego, co stwarzało trudną sytuację i to właśnie zmieniać. Bywał to czasami jakiś drugorzędny czynnik, często psychologiczny. Tak zawiły i rozległy problem Niemiec można było bez wątpienia także podjąć w ten sposób. Dopóty był on nie do rozwiązania, dopóki istniały okoliczności, które przyszłość spanych Niemiec, a także przyszłość ich związku z sąsiadami czyniły niepewną i niespokojną. Pierwszą rzeczą było więc zmienić okoliczności, to znaczy: poniżenie Niemiec wynikające z naszej niekończącej się kontroli i francuski strach przed Niemcami uwolnionymi spod kontroli. Dwa te czynniki nie wyczerpały ówczesnych problemów świata, ale wystarczały, by zablokować ewolucję w Europie.

Sytuacja była zagniatwana. Należało znaleźć nić, której pociągnięcie pozwoliłoby rozwiązać kilka supłów, dzięki czemu z kolei sytuacja uległaby stopniowej poprawie. Co było tą nitką w zawiłaniu stosunków francusko-niemieckich? Wydawało się, że zwyciężony przekazał swoje kompleksy zwycięzcy: we Francji pojawiło się poczucie niższości i zaczęto pojmować daremność wysiłków zmierzających do ograniczenia dynamiki niemieckiej produkcji przemysłowej i jej zdolności konkurencyjnej nie zostanie szybko uregulowany.

Podstawą przewagi, jakiej przemysłowcy francuscy łopatrują się w Niemczech, jest produkcja stali przy kosztach, z którymi przemysł francuski nie może konkurować. Stąd wyciągają wniosek, że produkcja francuska jest upośledzona.

Niemcy już teraz chcą powiększyć swoją produkcję z jedenastu do czterech milionów ton. My nie zgodzimy się na to, ale Amerykanie będą naciskać. W końcu dojdzie do kompromisu, ale to my ustąpimy. A równocześnie produkcja francuska zostanie na tym samym poziomie, albo ulegnie zmniejszeniu.

Wystarczy wyliczyć następujące fakty, by nie trzeba było opisywać wynikających z nich skutków: ekspansja Niemiec, niemiecki dumping eksportu, zatem zażądanie systemu protekcyjnego dla przemysłu francuskiego, zatem powstrzymanie swobodnej wymiany handlowej, przywrócenie przedwojennych karteli, prawdopodobne skierowanie niemieckiej ekspansji na Wschód, ekspansji poprzedzającej porozumienie polityczne, a więc Francja zepchnięta do pozycji producenta o ograniczonych możliwościach, korzystającego z systemu protekcyjnego".

Z mojego punktu obserwacyjnego jasno widziałem pierwsze oznaki tego cofania się gospodarki francuskiej. Zbliżały się terminy międzynarodowych spotkań. 10 maja Robert Schuman miał spotkać się w Londynie ze swoimi kolegami Ernestem Bevinem i Deanem Achesonem, aby rozważyć sprawę przyszłości Niemiec i zniesienia ograniczeń narzuconych niemieckiej gospodarce. Francuski minister nie miał żadnej pozytywnej propozycji, chociaż sam rozważał ten problem i poszukiwał rady u innych. Ja zaczynałem jasno widzieć sytuację: powinno się zacząć od tego punktu, w którym nieporozumienie było najwyraźniejsze, w którym następował powrót do minionych błędów. Jeśli by udało się wyeliminować we Francji obawę przed przemysłową przewagą Niemiec, najpoważniejsza przeszkoda na drodze do zjednoczenia Europy zostałaby usunięta. Rozwiązanie, które stawiałoby przemyśle francuski na tych samych podstawach, co przemysł niemiecki, uwalniając jednocześnie przemyśle niemiecki od dyskryminacji, wynikającej z porażki wojennej, takie rozwiązanie przywracałoby ekonomiczne i polityczne warunki porozumienia niezbędnego dla Europy. Co więcej, mogłoby stanowić zaczątek przyszłej jedności europejskiej.

Powróciłem więc prostą drogą do planów, które w 1943 roku snuliśmy z Etienne Hirschem i René Mayerem. Plany te wówczas były jedynie intelektualnymi spekulacjami, które próbowaliśmy nałożyć na mapę Europy, na której trzeba było od nowa wytyczyć granice. Teraz odkrywałem owe projekty na nowo, pobudzony przez nową sytuację. Zastosować je w zmienionej sytuacji politycznej, w Europie na powrót żyjącej w pokoju, było zadaniem całkowicie odmiennym. Czy wolno było podważać niezależność Niemiec, niezależność

dopiero co umocnioną, podważyć choćby częściowo, właśnie wtedy, kiedy alianci najpierw zrezygnowali z podzielenia okupowanego terytorium na szereg małych państweczek, a potem z oderwania od terytorium niemieckiego choćby jego najmniejszej części, choćby Saary, a obecnie byli już gotowi zrezygnować z uniędzynarodowienia zasobów Ruhry? Przecież takie ambicje, formułowane ~~przez~~ wszystkim przez polityków francuskich, nie zostały spełnione ponieważ opierały się na prawie zwycięzcy i na chwilowej przewadze, pojęciach już przestarzałych, które, na szczęście, przestały już być oczywistymi. Gdyby więc udało się podjąć problem władzy bez podkładu instynktów odwetu i dominacji, gdyby - przeciwnie - zwycięzcy i zwyciężeni zgodzili się wspólnie sprawować władzę nad jakąś częścią wspólnego bogactwa, jakże silny związek powstałby między nimi, jakże szeroka droga otworzyłaby się przed nowymi ideami zjednoczeniowymi i jakiż przykład powstałby dla innych narodów europejskich!

Wspólne bogactwo opierało się przede wszystkim na węglu i stali, które Francja i Niemcy posiadały w stopniu nierównym, aczkolwiek ich zasoby uzupełniały się, a baseny naturalne wpisane były w trójkąt geograficzny w sposób sztuczny poprzecinany granicami historycznymi. Te przypadkowe granice stały się w epoce przemysłowej, której narodziny zbiegły się z rozwojem doktryn nacjonalistycznych, przeszkodą dla wymiany, a potem zmieniły się w linie militarnych starć. Aby czuć się bezpiecznie każdy z narodów potrzebował całych tych zasobów naturalnych, to znaczy całego tego terenu. Rywalizacja kończyła się wojną, która rozwiązywała sprawę tylko na pewien czas, na czas potrzebny do przygotowania działań odwetowych. A przecież węgiel i stal były jednocześnie kluczami do potęgi ekonomicznej i do potęgi militarnej związanej bezpośrednio z produkcją broni. Ta podwójna funkcja nadawała węglowi i stali niezwykle symboliczne znaczenie dzisiaj już przez nas zapomniane, znaczenie porównywalne z tym, jakie dzisiaj ma energia jądrowa. Połączyć obie potęgi łącząc niemieckie i francuskie terytorium, oznaczało pozbawić je tej negatywnej siły i zwrócić jej działanie na rzecz pokoju.

Wreszcie uzyskałem taką pewność własnych poglądów, że mogłem rozpocząć dzieło przekonywania innych. Kogo jednak i kiedy? Co do czasu, to spotkanie wyznaczone na 10 maja w Londynie wydało mi się dobrą okazją. Wszelako takie spotkanie nie było miejscem właściwym na zgłoszenie propozycji, którą miałem na myśli, a która zmierzała właśnie do uczynienia niecelowymi spotkań trzech państw okupujących Niemcy. Aby osiągnąć ten rezultat, należało najpierw stworzyć całkowicie nową sytuację, przekształcić problem francusko-niemiecki w problem europejski. "W obecnym czasie - pisałem - Europa może się narodzić tylko z Francji. Tylko Francja może mówić i działać". Wynikało to, w moim przekonaniu, z faktów, a nie z jakiegoś historycznego przywileju. "Co się zdarzy, jeśli Francja nie przemówi teraz i nie rozpocznie działania? Państwa europejskie skupią się wokół Stanów Zjednoczonych, aby tym większym zawzięciem prowadzić zimną wojnę. Będzie tak, ponieważ kraje europejskie boją się i poszukują pomocy. Anglia zbliży się jeszcze bardziej do Stanów Zjednoczonych, Niemcy będą się szybko rozwijały i nie będzie można uniknąć wyrażenia zgody na ich uzbrojenie. We Francji zapanuje znowu dawny maltuzjanizm, co w sposób nieunikniony doprowadzi do jej osłabienia."

Nie zastanawiałem się narazie, kto przemówi w imieniu Francji i w jakich to nastąpi okolicznościach. Najważniejsze było wprawdzie wiedzieć dokładnie, co się chce powiedzieć. Zaproponować podporządkowanie węgla i stali jednej wspólnej władzy - oto prosty pomysł. Chodziło jednak o działanie konkretne, a moje doświadczenia w tej mierze były znikome, jeżeli nie brać pod uwagę doświadczeń z organami międzynarodowej współpracy, nieskutecznymi i niezdolnymi do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Nie wiedziałem jeszcze i nie poszukiwałem rady co do tego, jaka instytucja byłaby odpowiednia do podejmowania decyzji w imieniu Francji i Niemiec zarazem. W przeszłości nie było żadnych precedensów. Poszukiwałem więc rady, ale zarazem chciałem zachować całą sprawę w tajemnicy. I przypadek sprawił, że zjawił się w moim biurze na rue de Martignac młody profesor prawa, którego nie znałem, a którego radziliśmy się, o ile pamiętam, w sprawie przepisów antytrustowych, których wzmocnienie wydawało mi się niezbędnym. Paul Reuter był zrów-

noważonym, solidnym człowiekiem ze wschodniej Francji. Błyskotliwie podejmował i rozwiązywał rozmaite problemy z zakresu prawa i polityki. Uczył teorii prawa na Uniwersytecie w Aix i przyjechał do Paryża do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie był jednym z trzech konsultantów prawnych. Natychmiast zorientowałem się, że stosunki między Francją i Niemcami interesowały go zarówno zawodowo jak i osobiście: czy prawo międzynarodowe mogło się przyczynić do zniknięcia konfliktów, których najczęstszymi ofiarami byli mieszkańcy rojonów przygranicznych?

Zdradziłem się przed nim z moimi poglądami, które przyjął z taką inteligencją i entuzjazmem, że umówiliśmy się ponownie na najbliższą sobotę, na 15 kwietnia. Wówczas wyjawiałem mu istotę mojego projektu wspólnoty węgla i stali i poprosiłem go, żeby się przez dzień zastanowił nad tym, jaka forma organizacyjna byłaby najlepsza. W niedzielę spotkaliśmy się w trzech z Hirschem w moim domu w Monfort-l'Amoury. Tego właśnie dnia została opracowana pierwsza wersja projektu, który potem miał stać się francuską propozycją z 9 maja. Trudno mi po dwudziestu pięć latach powiedzieć, jaki był dokładnie wkład każdego z nas do tekstu, który podyktowaliśmy mojej sekretarce, pani Miguez. Mogę jednak powiedzieć, że bez Hirscha i bez Reutera nie osiągnąłby od razu formy, czyniącej zeń dokument, który legł u podstaw Wspólnoty. Ja miałem jasną wizję celu, oni dostarczyli mi sposobów na osiągnięcie go przez posunięcia gospodarcze i instytucjonalne, dla których ich wyobraźnia stworzyła natychmiast nowe formy organizacyjne na europejską skalę.

"Pokój światowy nie zostanie zabezpieczony bez twórczych wysiłków na miarę zagrażających mu niebezpieczeństw. Wkład jaki zorganizowana i dynamiczna Europa może wnieść do cywilizacji jest niezbędny do utrzymania na świecie pokojowych stosunków". Wstęp ten przetrwał wszystkie kolejne zmiany tekstu. W ciągu następnych dni powstało wiele wariantów dalszej części tekstu. Ich analiza pokazałaby jak postępowały nasze poszukiwania. Ale w tych zdaniach cały sens był już zawarty: "Europa powinna być zorganizowana na zasadzie federacji. Unia francusko-niemiecka jest tu czynnikiem podstawowym, a rząd francuski gotów jest na taką unię się zdecydować... Przeszkody nagromadzone w przeszłości utrudniają natychmiastową realizację takiego ścisłego związku, jaki rząd francuski stawia sobie za cel. Obecnie ustalenie wspólnych podstaw rozwoju gospodarczego powinno stanowić pierwszy etap unii francusko-niemieckiej. Rząd francuski proponuje, by całość francusko-niemieckiej produkcji stali i żelaza podporządkować międzynarodowej władzy otwartej na uczestnictwo innych krajów europejskich. Zadaniem takiej władzy byłoby ujednoczenie podstaw produkcji i dzięki temu umożliwienie - w celach pokojowych - stopniowego rozszerzenia efektywnej współpracy na inne dziedziny."

Cele i metody działania Wspólnoty były odąd ustalone. Późniejsze poprawki dotyczyły tylko stylu i mechanizmów. Kiedy teraz czytam ten tekst, uderza mnie jasność zamysłu, która w wersji ostatecznej została nieco przyćmiona: podstawowym zadaniem jest unia francusko-niemiecka. Nie można jej zorganizować od razu tylko z powodu "nagromadzonych przeszkód". Trzeba zacząć od "ustalenia wspólnych podstaw rozwoju gospodarczego", najpierw odnośnie węgla i stali, potem innych gałęzi gospodarki. Na początku sądziłem, że pierwszym etapem federacji europejskiej będzie ta unia dwóch i tylko dwóch krajów, że inne dołączą później. Jednak wieczorem dopisałem do pierwotnej wersji zdanie "otwarte na uczestnictwo innych krajów europejskich". Rano uznałem, że jest to podstawowy problem /aby uchwycić istotę rzeczy trzeba zawsze wracać do ich poranka - ich narodzin/.

Zostały wytyczone, i to na długo, podstawowe zasady działania nowej instytucji. Dzięki Hirschowi cała budowla była od początku solidna. Trzeba było ustalić wspólne podstawy produkcji i dystrybucji dwóch elementarnych produktów, zapewnić identyczne warunki ich sprzedaży, wyrównać postępy w zakresie warunków społecznych, wdrożyć postęp techniczny. Takie zadania wymagają rozbudowanych instytucji i różnorodności stosowanych środków. Należy w obu państwach zrównać ekonomiczne warunki produkcji pod względem podatkowym, świadczeń społecznych, transportu... Niezbędne będzie ustalenie rozmiarów

produkcji, wprowadzenie mechanizmów finansowych zapewniających równomiernie rozłożenie podatków, a także zasad przeliczeń finansowych."

Odtąd droga do rokowań europejskich została otwarta. Reuter naszkicował mechanizmy instytucjonalne: "Podstawowe zasady i zobowiązania poniżej określone będą przedmiotem traktatu podpisanego przez oba państwa. Instytucja, która będzie miała za zadanie kierować funkcjonowaniem unii, zostanie powołana na podstawie identycznego udziału francuskiego i niemieckiego, a na jej czele stanie osoba zaakceptowana przez obie strony." Chociaż samo słowo nie zostało wypowiedziane, było to pierwsze prawne potwierdzenie zasady równości w stosunkach między Francją i Niemcami, decydujący krok ku nadziejom przyszłości. Tekst kończył się tymi oto kilkoma zdaniami, które streszczały jego intencję: "W propozycji tej zawarty jest podstawowy zamysł polityczny: uczynić wyłom w murach obronnych suwerenności narodowej, wyłom dostatecznie ograniczony, by nie wzbudzał obaw, ale i aby państwa mogły stopniowo zmierzać do stworzenia związku niezbędnego dla utrzymania pokoju."

Tylko sekret odpowiedniego dobrania proporcji między formą i treścią tak długo opracowywanego tekstu może wyjaśnić dlaczego zdanie to nie znalazło się w następnych wersjach, dlaczego pojawiły się inne, które potem z kolei ustępowały miejsca formułom, jakie dziś czytamy w dziełach z zakresu historii najnowszej. Między niedzielą 16 kwietnia a sobotą 6 maja pojawiło się dziesięć kolejnych wersji tekstu. Nie wiem czy to dużo czy mało - uważam, że w takich przypadkach trzeba pracować ile jest niezbędne, przerabiać tekst nawet sto razy, jeśli tak trzeba, aż się jest wreszcie z niego zadowolonym. Może dziewięć razy, jak w tym przypadku, najczęściej piętnaście, jak to miałem w zwyczaju zdaniem moich współpracowników, którzy chętnie porzestaliby na kilku wersjach. Po co jednak tak obliczać nakład pracy? Jak przekonać się, że pierwsza wersja jest najlepsza, jeśli nie można jej porównać z następnymi, które uważa się za jeszcze lepsze? Naturalnie, że byłoby łatwiej, gdyby intuicja lub przypadek naprowadzały wprost na dokładne sformułowanie myśli. I tak jednak intuicja i przypadek musiałyby ulec sprawdzeniu, a sprawdzenie oznacza ponowne przeczytanie tekstu po dobrze przespanej nocy, lub przeczytanie go przez kogoś świeżym okiem.

W poniedziałek na tekst powstały poprzedniego dnia świeżym okiem spojrział Uri. Zdecydowałem się włączyć go, ale tylko jego, do naszej grupy. Cenna dla nas była jego wyobraźnia i precyzja języka. Przeczytał tekst z właściwą mu zdumiewającą zdolnością koncentracji, która wywołała zmarszczki na całej jego twarzy i powiedział po prostu: "to przywraca rzeczom właściwe miejsce". Oto właśnie chodziło. Chodziło nie tyle o rozwiązanie problemów należących do porządku naturalnego, ile o przywrócenie rzeczom porządku bardziej racjonalnego, bardziej ludzkiego, o ich przeformułowanie tak by mogły służyć pokojowi między narodami. Uri z zapałem włączył się do tych działań. Projekt został rozbudowany, umocniła się koncepcja systemu instytucjonalnego: władza międzynarodowa stała się Wysoką Władzą Wspólnoty. W czwartej wersji określiliśmy ją mianem ponadnarodowej, ale słowo to nie podobało mi się wówczas, zresztą nie podobało mi się nigdy. Ważna była funkcja, którą miało określać i która została lepiej opisana w następującym zdaniu: "Decyzje Wysokiej Władzy mają moc obowiązującą we Francji i w Niemczech, oraz w innych współpracujących się krajach."

Należało przedstawić gwarancję działania takiej władzy i zasady jej ewentualnej likwidacji, ale bez nadmiernych szczegółów i precyzacji. Reuter ogromnie pomógł nam w tym pierwszym okresie, po czym wrócił do Aix na Uniwersytet. Porozumiewaliśmy się przez telefon i miałem nadzieję, że wróci, by razem z nami opracować szczegóły traktatu. Stało się inaczej z nieznanymi mi powodów. Tak czy owak Paul Reuter miał poważny wkład w powstanie Wysokiej Władzy.

Uri natomiast doprowadził do uściślenia projektów gospodarczych i w kilku kolejnych próbach stworzył pojęcie Wspólnego Rynku, czyli terenu bez barier celnych, bez dyskryminacji, objętego jednak w interesie ogólnym pewnymi zasadami i przepisami. Całość stwarzała wrażenie zarazem dobrej organizacji i ducha liberalizmu. "Stopniowo powstaną warunki zapewniające najbardziej racjonalny podział produkcji na najwyższym poziomie." Nie mogliśmy dalej posunąć projektu od strony technicznej, gdyż nie chcieliśmy

wtajemniczać ekspertów, a poza tym brak było czasu. Istota rzeczy została ujęta w wówczas zredagowanych czterystu wierszach, które z czasem uległy tyłko małym ważnym zmianom, a właściwie w następujących pięciu wierszach: "Czyniąc wspólnymi podstawowe gałęzie produkcji i tworząc instytucję nowej Wysokiej Władzy, której decyzje będą zobowiązujące dla Francji, Niemiec oraz krajów, które się przyłączą, projekt stworzy konkretne podwaliny pod federację europejską, niezbędną dla zachowania pokoju." Postanowiłem, że ten fragment będzie podkreślony, ponieważ przedstawione są w nim równocześnie metoda, środki i cel - odtąd nierozdzielne. Ostatnie słowo zaś było słowem kluczowym: pokój.

"Rząd francuski proponuje..."; otóż rząd francuski jeszcze nie znał tego projektu i nie uznał go za swój. Musiałem znaleźć człowieka, który dysponował odpowiednią władzą i był na tyle odważny, by na zasadzie zaskoczenia doprowadzić do tak przecież poważnych zmian, jakie zapowiadał projekt. Robert Schuman wydał mi się idealnym kandydatem, ale wskutek nieporozumienia nie do niego zwróciłem się najpierw. W przeddzień pierwszego spotkania z Reuterem miałem długą rozmowę z Bernardem Clappier. Wyjawiłem mu mój generalny zamysł, który go żywo zainteresował. "Pan Schuman - powiedział - poszukuje jakiegoś pomysłu, który mógłby przedstawić w Londynie 10 maja. Wiem, że przykładem do tego duże znaczenie od czasu spotkania trzech w Nowym Jorku, we wrześniu minionego roku. Byłem przy tym, kiedy Acheson powiedział za aprobatą Bevina: Zgadzą się, żeby nasz francuski kolega znalazł formułę dla naszej wspólnej polityki wobec Niemiec. Termin się zbliża, a nikt nie dał Schumanowi odpowiedniej rady. - Cóż, mam pewną myśl, odpowiedziałem..." Sądziłem, że zadzwoni do mnie po rozmowie ze swoim ministrem. Lecz bieg okoliczności sprawił, że nie zdążył do mnie zadzwonić i 28 kwietnia, sądząc, że Schuman nie jest zainteresowany moim ewentualnym projektem, postanowiłem zwrócić się do Bidault, premiera, który był moim bezpośrednim szefem.

I tego samego dnia, wkrótce potem jak kazałem dostarczyć list Falaize'owi, dyrektorowi gabinetu u Bidault, zjawił się Clappier przeproszając za długie milczenie. "Oto projekt, który dopiero co wysłałem do Bidault", powiedziałem mu. Clappier przeczytał tekst i szybko nadrobił stracony czas: "To jest znakomite. Czy pozwoli pan, że przedstawię projekt panu Schumanowi?" Dałem mu kopię, którą natychmiast zawiózł na Gare de l'Est. Minister spraw zagranicznych jechał wieczornym pociągiem do Metz, gdzie samotnie spędzał week-endy w swojej posiadłości w Scy-Chazelle. Clappier znalazł go już w wagonie. "Zechce pan przeczytać ten projekt Monneta? To ważne." W poniedziałek rano przyjechał na dworzec po Schumana, który natychmiast po opuszczeniu wagonu powiedział mu: "Przeczytałem projekt. Przyjmuję go." Te kilka słów wystarczyło, by sprawy ruszyły. Cała rzecz nagle przeszła w ręce polityków, stała się problemem i niebezpiecznym przedmiotem odpowiedzialności władzy. Decydowanie w sprawach dobra publicznego stanowi przywilej rządzących. Ponieważ nie dysponowałem tym przywilejem, musiałem znaleźć pośredników.

Schuman i Clappier znaleźli się w gronie wtajemniczonych, do którego nie dołączyli Bidault i Falaize z dość oczywistej przyczyny: nie znaleźli czasu na przeczytanie mojego listu, w którym prosiłem o wyznaczenie spotkania na następny dzień, aby przedstawić "projekt, który może przyczynić się do zmienienia z dnia na dzień pogarszającej się sytuacji ogólnej." Spotkania nie wyznaczono, a jednak we wtorkowym "Le Monde" napisano, że zostałem przyjęty przez premiera! Qui pro quo nie na tym się kończyło, gdyż w środę, po zebraniu rady ministrów, na której Schuman uczynił aluzję do przyszłej francuskiej inicjatywy, zostałem wezwany przez Bidault do Matignon. Bidault przyjął mnie ogromnie zagniewany. W ręku trzymał kopię projektu. "Schuman pokazał mi ten projekt, podobno to pańskie dzieło. Powiniennem pierwszy o tym wiedzieć. - Ależ tak też było, napisałem do pana w piątek". Poszukał listu i znalazł go na biurku. Czy go czytał? W swoich pamiętnikach zapewnia, że tak i ja mu wierzę. Bez wątplenia nie miał czasu zastanowić się nad nim, bo był wówczas zajęty problemami Paktu Atlantyckiego. Jaki los spotkałby projekt w jego rękach i jaki byłby wtedy los Europy?

Zadawano sobie to pytanie. Ja wszelako nigdy w życiu nie zastanawiałem się nad tym, jakie konsekwencje mogłyby wyniknąć w sytuacji, która nie zaistniała. Jest to najzupełniej bezpłodne zajęcie. Faktem jest natomiast, że nie było planu Bidault tylko plan Schumana.

Clappier pomógł nam wykończyć tekst i 6 maja powstała wersja ostateczna, w której znalazły się te nowe zdania: "Walcząc od ponad dwudziestu lat o Europę zjednoczoną, Francja zawsze miała na celu służbę pokojowi. Taka Europa jednak nie powstała, przeżyliśmy natomiast wojnę." Był to gest szacunku wobec Brianda, ale i pożegnanie retoryki. "Europa nie powstanie od razu, ani w wyniku powołania wspólnej instytucji. Będzie powstawała dzięki konkretnym działaniom kształtującym faktyczną solidarność." Oznaczało to zasadniczy wybór metody stopniowego integrowania rzeczy i umysłów. Metoda ta wydawała się powolna i mało spektakularna. A jednak jest stosowana od dwudziestu pięciu lat i nikt nie zaproponował innej, która miałaby przyspieszyć powstanie Wspólnoty. "No a teraz dość" - powiedziałem i napisałem: "Wersja ostateczna, sobota, trzecia po południu." Odtąd wszystko zależało od taktyki. Wkrótce potem poszedłem do biura Schumana razem z René Mayerem, ministrem sprawiedliwości, który natychmiast stał się gorącym zwolennikiem projektu przypominającego mu nasze algierskie rozmowy o konieczności odbudowy Europy w sposób pokojowy. Na jego życzenie dodaliśmy zdanie, które wówczas uważane było za ozdobę stylistyczną, ale któremu przyszłość nadała pełne znaczenie: "Europa będzie mogła, dzięki pomnożeniu środków, realizować jedno z jej istotnych zadań - rozwijanie kontynentu afrykańskiego". Natychmiast kazałem zanieść dokument do Plevna, wówczas ministra terytoriów zamorskich. Na nim miała się zamknąć lista adresatów. W sumie wtajemniczonych było dziewięć osób.

Kiedy i jak wyjawić tę tajemnicę - nie mieliśmy zdecydować w niedzielę. Pleven, już wprowadzony i całkowicie przekonany, poradził nam jak działać. Późnym przedpołudniem spotkałem się z Schumanem i z Clappierem, którzy uznali za konieczne wezwanie także Alexandre Parodi, sekretarza generalnego ministerstwa spraw zagranicznych. W ten sposób ministerstwo spraw zagranicznych zostało poinformowane i zarazem zobowiązane do milczenia. Postanowiliśmy przeprowadzić całą sprawę poza oficjalnymi kanałami dyplomatycznymi i obyć się bez ambasadorów. W szczególności osobisty kontakt, jaki Schuman chciał nawiązać z Adenauerem miał zostać powierzony jednemu z jego współpracowników, który w tym właśnie momencie udawał się w tajemnicy do Bonn. Nie można jednak było czekać do środy, normalnego dnia zebrania rady ministrów, bo tego samego dnia miała się odbyć konferencja w Londynie, na którą Schuman miał przywieźć projekt rozwiązania sprawy niemieckiej. Pleven i Mayer spowodowali, że rada ministrów odbyła się wyjątkowo we wtorek rano. Do tego czasu miała być zachowana całkowita tajemnica. I tak też się stało, z jednym wyjątkiem.

Wyjątek ten został nam narzucony przez zadziwiający zbieg okoliczności. Dean Acheson w drodze do Londynu postanowił zatrzymać się w Paryżu na niedzielę, aby spokojnie porozmawiać z Schumanem, którego bardzo wysoko cenił. Nie można było pozwolić na to, by dwaj ministrowie prowadzili bezpośrednio rozmowy o wszystkim z wyjątkiem tego, co za dwa dni miało okazać się najważniejsze... Przyzwoitość i uczciwość nakazały nam wtajemniczyć Achesona i nie musieliśmy tego żałować. W swoich "pamiętnikach" opisał tę niedzielę 7 maja w sposób interesujący i znamienity dla jego niezwykłej osobowości. Przyznał, że nie od razu zdał sobie sprawę ze znaczenia planu, który Schuman przedstawił mu za pośrednictwem tłumacza. Podejrzewał, że będzie to jakby wielki kartel węgla i stali, dawne marzenie przemysłowców europejskich, czyli według Amerykanów przestrzegających zasady prawa do konkurencji i zasady wolności handlu - grzech niewybaczalny. Jako prawnik i polityk nie był zachwycony i musiałem wyjaśnić mu niesłuszność jego obaw.

Znałem Achesona dobrze, bywał u nas często w Waszyngtonie i był wielkim wielbicielem francuskiej kuchni Amélie. Każdego ranka maszerował razem z Felixem Frankfurterem do biura. Obaj w melonikach, stanowili wcielenie prawa i konstytucji Stanów Zjednoczonych. Wiedzieliśmy także, iż byli ludźmi światłymi i szlachetnymi. Acheson potrafił prowadzić lekką konwersację

i przybierać manieri człowieka światowego, ale jego świetna inteligencja była podporządkowana głębokim przekonaniom. Wiadomo, jaką rolę odegrał w powstaniu planu Marshalla i nie wątpię, że zrozumie znaczenie polityczne naszego projektu. Dzięki pomocy Davida Bruce szybko do tego doprowadziliśmy i odtąd mieliśmy dwóch mimowolnych współników i dwóch poważnych zwolenników zarazem. Jednak nasze krótkotrwałe nieporozumienie dało mi do myślenia i zdałem sobie sprawę z tego, że plan utworzenia wspólnoty węgla i stali może być niewłaściwie zrozumiany. Poprosiłem natychmiast Uri, żeby sporządził odpowiedź na ewentualne zastrzeżenia. Notę, która w ten sposób powstała dołączyliśmy do tekstów projektu. Uri napisał: "ze względu na wszystkie jego cechy projektowany organizm będzie stanowił przeciwieństwo kartelu, odmienne będą jego zadania, jego sposób działania i zasady kierowania." Było to przekonujące, ale trzeba było wiele czujności i precyzji prawniczej, niemal wprowadzenia europejskiego prawa antytrustowego - aby uniknąć podejrzeń o sprzyjanie idei kartelu i zabezpieczyć się przed jego powstaniem.

W poniedziałek trwało pogotowie zbrojne, ale na Quai d'Orsay i na rue Martignac zachowywaliśmy się, jak gdyby nigdy nic. Wieczorem Clappier powiedział, że współpracownik Roberta Schumana, wyższy urzędnik z Lotaryngii pan Michlich wyjechał do Bonn, gdzie miał na niego czekać jedynie Blankenhorn, dyrektor gabinetu kanclerza. Jak udało mu się dostać do biura kanclerza bez wiedzy wszystkich służb francuskich i ambasadora Francois-Poncet, to mógłby powiedzieć jedynie ów dyskretny człowiek. Wiem na ten temat tylko tyle, ile przeczytałem w "Pamiętnikach" Adenauera. "Rankiem - pisał Adenauer - nie wiedziałem jeszcze, że tego dnia dotrą do mnie wiadomości, które w decydujący sposób wpłyną na ewolucję Europy. Rząd federalny obradował, kiedy mnie zawiadomiono, że wysłannik francuskiego ministra spraw zagranicznych ma dla mnie pilne wiadomości. Przywiózł dwa listy od Schumana i oświadczył Blankenhornowi, że francuski gabinet obraduje w tym samym czasie w Paryżu nad ich zawartością. Blankenhorn przyniósł listy na salę obrad rady ministrów. Jeden, odręczny, zawierał kilka słów od ministra Schumana... Pisał, że jego projekt nie ma charakteru gospodarczego, lecz przede wszystkim polityczny. We Francji trwały obawy, że Niemcy, kiedy się podniosą z porażki wojennej, staną się znowu niebezpieczne i nie można było wykluczyć istnienia w Niemczech podobnych idei. Ponowne uzbrojenie Niemiec musiało najpierw oznaczać wzrost produkcji węgla, żelaza i stali. Powstanie projektowanej organizacji, która pozwoliłaby obu krajom na szybkie wykrycie oznak ewolucji w tym kierunku, spowodowałoby znaczne uspokojenie umysłów we Francji... Natychmiast odpowiedziałem Schumanowi, że z całego serca popieram projekt."

Rada ministrów rzeczywiście obradowała w Pałacu Elizejskim i Clappier musiał długo oczekiwać w sąsiednim pokoju. My czekaliśmy na rue Matignac, ale mieliśmy z nim kontakt za pośrednictwem międzyministerialnego telefonu. Minęło południe i wyczerpany został porządek dzienny zanim Schuman się odezwał. Nie mógł przedstawić projektu zanim się nie dowiedział, że Adenauer wyraża całkowite poparcie, poparcie, w które nie wątpię, ale które musiało zostać sformułowane. Długie milczenie napawało nas obawą, wszystko zależało od tych kilku minut. Wiadomości od Michlicha dotarły do Clappiera w momencie, kiedy ministrowie już wstali. Usiedli więc ponownie. Nie wiem, co dokładnie Schuman powiedział swoim kolegom, ale myślę, że mówił jeszcze bardziej ogólnikowo i niejasno niż zazwyczaj. Nikt nie poddał w wątpliwość sensowności projektu, który miał zawieźć do Londynu, a który stanowczo popierali Pleven i Mayer, chociaż większość ministrów poznała jego szczegóły dopiero następnego dnia z prasy. Po zakończeniu rady ministrów Clappier zadzwonił do mnie: "Udało się, czas na następny krok."

"Następny krok" to było, zgodnie z naszym planem, podanie wieczorem w sposób spektakularny do wiadomości publicznej wspomnianego tylko rano projektu. Dziennikarze francuscy i zagraniczni zostali zaproszeni na godzinę szóstą do Salon de l'Horloge na Quai d'Orsay przekształconego w salę konferencji prasowej. W pośpiechu zapomniano o fotografach i o radiu, tak że w parę miesięcy później Schuman musiał wziąć udział w odtworzeniu konferen-

cji, aby potomność wiedziała, jak to wyglądało. W międzyczasie przyjęci zostali ambasadorzy europejskich krajów i wprowadzono ich w zawartość projektu, który władze ich krajów miały przeczytać w gazetach zanim dotarły do nich depesze samych ambasadorów. Potem Schuman wkroczył do Salon de l'Horloge, gdzie zebrało się ponad dwustu dziennikarzy. Byłem wśród nich z Silvia, Hirschem, Uri i Fontaine. Nie jestem pewien czy przytłuniony, niepewny głos ministra przekonał od razu dziennikarzy, że są świadkami zasadniczej zmiany w polityce międzynarodowej, chociaż niezwykle ton preambuły nie pozostawiał wątpliwości:

"Nie idzie tu o próżne słowa, lecz o śmiałość, twórcze postanowienie. Francja zdecydowała się działać, a konsekwencje tego działania mogą być kolosalne. Mamy nadzieję, że tak będzie. Działanie to ma przede wszystkim służyć pokojowi. Aby pokój mógł istnieć trwale musi dojść do powstania zjednoczonej Europy."

Była to w rzeczywistości raczej konkluzja niż wstęp i próbowałem to natychmiast wyjaśnić komentatorom z wielkich dzienników, którzy nie byli jeszcze pewni znaczenia projektu, ponieważ aspekty techniczne przysłaniały jego doniosłość polityczną. Wiedziałem, że będą pisali o wielkim kombinacie przemysłowym, o poolu węglowo-stalowym i to było słuszne. Ale chodziło także o Europę i o pokój. Roger Massip z "Figaro", Charles Ronsac z "France-Tire-ur", Jacques Gascuel z "France-Soir" i Harold Callender z "New York Times" nie wahali się ani przez chwilę i w swoich tekstach docenili znaczenie tego zdarzenia. Jednocześnie w Niemczech Adenauer oczekiwał na ogłoszenie francuskiej propozycji, aby przekazać dziennikarzom zgromadzonym w Bonn wiadomość o tym, że jego kraj projekt ten przyjmuje: "Propozycja złożona nam przez Francję stanowi wielkoduszną inicjatywę. Oznacza poważny postęp w stosunkach francusko-niemieckich. Propozycja ta nie opiera się na ogólnych formułach, lecz na konkretnych sugestiach odwołujących się do zasady równości praw." Ze zwykłym sobie realizmem kanclerz dostrzegł natychmiastową korzyść: "Kiedy produkcja rejonu Sarry będzie administrowana wspólnie, zostanie wyeliminowana przyczyna napięcia między Francją a Niemcami." Wszystko zostało postanowione w ciągu kilku godzin, w pełnym świetle, dzięki potawie dwóch ludzi, którzy odważyli się sami decydować o losie swych krajów. Chociaż byłem zadowolony, wiedziałem, że dopiero od tej chwili zacznie się najważniejsza praca i że będzie trzeba wykonać pośpiesznie następujące zadanie: trzeba będzie doprowadzić do instytucjonalnego uświęcenia tego związku zbudowanego na dobrej woli. Nic bowiem nie jest możliwe bez ludzi, ale nic też nie jest trwałe bez instytucji. /.../ /s. 426-447/.

Monnet został mianowany przewodniczącym Wysokiej Władzy Wspólnoty i w tym charakterze witał Adenauera w Paryżu.

/.../ Podpisanie traktatu stanowiło dla Adenauera pierwszą okazję do oficjalnej podróży za granicę i była to pierwsza wizyta szefa rządu niemieckiego w Paryżu od czasów wojny. W obawie przed wrogimi manifestacjami została zmobilizowana specjalna służba porządkowa. Żaden minister nie wyszedł na jego powitanie na lotnisko, gdzie witałem go sam z kilkoma moimi współpracownikami. W szaleńczym tempie ten mały korwód samochodów popędził do Paryża i, jak myślę, znacznie większe było niebezpieczeństwo wypadku drogowego niż jakiegos zamachu. Przeciwno przyjazdowi Adenauera najsilniej oponowali komuniści, którzy od czasu odrzucenia przez ZSRR planu Marshalla potępiali wszystkie próby odrębnego organizowania się Europy Zachodniej. Ich kampanie przeciwko planowi Schumana i planowi Plevena współgrały ze stanowiskiem ośrodków konserwatywnych, które odrzucały najmniejsze zmiany w ekonomicznej i organizacyjnej strukturze obronnej Francji. Od tego czasu stało się jasne, że gdyby nacjonalizm prawicy i nacjonalizm lewicy dysponowały dostateczną ilością czasu doszłoby do ich spotkania w celu ni dopuszczenia do traktatów europejskich. Dla wielu Niemcy w dalszym ciągu stanowiły bezpośrednie zagrożenie i łatwo ich było nakłonić do zwątpienia w szczerą demokratycznych przemian w Niemczech. Zaś ci, którzy nie żywiłi takich obaw, musieli jednak zważać na poważne ostrzeżenia formułowane przez Związek Radziecki wobec aliantów za każdym razem, kiedy Republika

Federalna odzyskiwała część suwerenności. Wydawało się, że taka eskalacja słów może prowadzić do wojny i, co zrozumiałe, we Francji rozwinęło się nastawienie w kierunku neutralizmu. Tak więc wszyscy, którzy dla najrozmaitszych i często sprzecznych powodów pragnęli, by Niemcy pozostały państwem niesamodzielnym, widzieli w Adenauerze głównego przeciwnika. Dlatego też rząd francuski nie zgotował mu należącego protokołem przyjęcia.

Kanclerz nie był jednak człowiekiem, który zważałby na formy zewnętrzne, natomiast zrobiły mu przyjemność dyskretne dowody sympatii składane przez przyjaciół czy nieznaną mu ludzi w Paryżu. Sięgał wzrokiem daleko, i chociaż chciał przyspieszyć etapy oswobodzenia swego kraju, to zdawał sobie sprawę, że trzeba było je osiągać kolejno i stopniowo. Podpisanie planu Schumana stanowiło dla niego punkt wyjścia drogi politycznej, na którą zdecydował się śmiało i której nie miał zamiaru opuścić mimo pokus zmierzania skrótem do całkowitej niezależności i władzy czysto narodowej oraz mimo poważnych zagrożeń i presji od wewnątrz. Adenauer także miał swoich konserwatystów z prawicy i z lewicy, swoich wojskowych tradycjonalistów i rosnące dążenia do neutralności, której możliwość słusznie uważał za złudną.

Zorientowałem się w czasie naszych spotkań, że podobnie jak i mnie zaprzątają go psychologiczne skutki nowej zimnej wojny, która powodowała skłócenie opinii europejskiej stającej się biernym narzędziem w walkach o wpływy między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim. Bardziej ode mnie zdawał się zaalarmowany gwałtownością not ponawianych przez Moskwę, a zagrażających utratą zimnej krwi przez wielu francuskich i niemieckich polityków, a przede wszystkim przez tych dyplomatów z obu krajów, którzy pragnęli ściślejszych związków ze Wschodem. Żywo reagował na te noty i domagał się od Stanów Zjednoczonych bardziej zdecydowanego poparcia. Ja natomiast sądziłem, że nie ma co czekać na wyniki tych polemik, lecz należy unikać wpadnięcia w kleszcze deklarując nasz zamiar posuwania się naszą własną drogą. "Rozumiem dobrze za co jesteście odpowiedzialni - tłumaczyłem Adenauerowi i Plevenowi - ale zostaniemy zalani jeśli będziemy trwali na pozycjach obronnych. Nie powinniśmy reagować tylko na wymagania Ameryki, ani tym bardziej działać z obawy przed Moskwą, powinniśmy znaleźć rozwiązanie konstruktywne, niezależne i nie odnoszące się do stanowiska amerykańskiego czy rosyjskiego: rozwiązaniem takim jest stworzenie Europy."

Wiele razy miałem w życiu okazję wygłaszać myśli, które można tak oto streścić: "Doprowadźmy do skutku to, co czynimy, a nie dajmy się powodować poglądami, jakie inni mają na nasz temat, ani też ich oczekiwaniami w stosunku do nas." Nie sądzę by było to stanowisko egoistyczne. Raczej wręcz przeciwnie. Największym wkładem w cywilizację jest stworzenie ludziom możliwości rozwoju w ramach swobodnie powstających wspólnot. Dla osiągnięcia tego celu trzeba jednak skoncentrować się na tym jednym celu i niczego nie oczekiwać od nikogo, chyba że sam się zgłosi do współpracy, kiedy zda sobie sprawę, że nasze postanowienia są nieodwołalne. Mieliśmy to potwierdzić rozwijając Wspólnotę Węgla i Stali.

Traktat podpisano 18 kwietnia 1951 roku w Salon de l'Horloge w niemal rok po publicznym ogłoszeniu planu Schumana. Jeden z naszych współpracowników, wierny Bany, człowiek przedsiębiorczy i pełen przekonania zrobił nam niespodziankę ofiarowując wszystkim sygnatariuszom po egzemplarzu traktatu złożonego we francuskiej drukarni narodowej na holenderskim papierze i wydrukowanego przy pomocy niemieckiej farby. Oprawę wykonano w Belgii i Luksemburgu, zaś jedwabne zakładki pochodziły z Włoch.

Tekst traktatu zasługiwał na taką pieczołowitość: był napisany pięknym stylem, precyzyjnym i zarazem klarownym, stylem, który od dwudziestu pięciu lat stanowi podstawę dla oficjalnych tekstów rozwijającej się Wspólnoty. Długo jeszcze te zdania ze wstępu stanowiące dalszy ciąg deklaracji z 9 maja, sformułowane w imieniu trzech ich królewskich wysokości i trzech prezydentów, zachowają swoje znaczenie dla europejskich narodów:

"Uważając, że pokój światowy może zostać utrzymany tylko dzięki działaniom twórczym na miarę zagrażających niebezpieczeństw;

Przekonani, że wkład zorganizowanej i dynamicznej Europy do cywilizacji jest niezbędny do utrzymania pokojowych stosunków;

Świadomi, że Europa powstanie tylko dzięki osiągnięciom konkretnym tworzącym najpierw solidarność faktyczną i dzięki ustaleniu wspólnych podstaw rozwoju gospodarczego;

Dbali o to, by dzięki rozwojowi podstawowych gałęzi produkcji przyczynić się do podniesienia poziomu życia i postępu dzieła pokoju;

Zdecydowani zastąpić starą rywalizację zjednoczeniem podstawowych interesów, ustanowić przez stworzenie Wspólnoty gospodarczej podstawy dla bardziej rozległej i zasadniczej wspólnoty między społeczeństwami od wieków narażonymi na krwawe podziały oraz dać grunt dla instytucji, które odtąd będą zajmowały się szkicowaniem wspólnej przyszłości;

Postanawiamy stworzyć Wspólnotę europejską węgla i stali".

Oni postanowili, ale sześć parlamentów musiało teraz ratyfikować traktat. Trzeba się było uzbroić w cierpliwość. /.../ /s.523-527/.

Uwagi poniższe wypowiada Monnet w związku z opisem trudności, na jakie napotkał w trakcie pracy we Wspólnocie Węgla i Stali.

/.../ Mówiłem przed Zgromadzeniem: "Nie dość powtarzać, że sześć państw, które stworzyły Wspólnotę, stanowi tylko początek większej Europy, której granice określają jedynie ci, którzy jeszcze do niej nie należą. Nasza Wspólnota nie jest stowarzyszeniem producentów węgla i stali: jest początkiem Europy."

Zaczątek Europy - to idea polityczna, ale w jeszcze większym stopniu idea moralna. Europejczycy stopniowo stracili zdolność do wspólnego życia i do stowarzyszania swoich twórczych sił. Ich wkład w dzieło postępu, ich rola w cywilizacji, którą sami stworzyli wydawały się coraz mniejsze. Nie dysponowali już niewątpliwie instytucjami, które nadawały się do zmieniającego się świata. Formy narodowe okazywały dowodnie swoją nieelastyczność. Sądzę, że nowe instytucje wspólnotowe stanowią jedyny sposób na przywrócenie niezwykłych zdolności twórczych niegdyś właściwych Europejczykom i starałem się przenawiając w Zgromadzeniu przekonać do tej opinii moich słuchaczy: "Dawno temu zastanawiałem się nad myślą szwajcarskiego filozofa Amiela "Każdy człowiek od nowa zaczyna zbierać doświadczenia. Jedynie instytucje stają się coraz mądrzejsze: kumulują doświadczenia zbiorowe i dzięki tej mądrości i zbiorowym doświadczeniom ludzie poddani takim samym zasadom stopniowo zmieniają nie tylko swoją naturę, co swoje zachowanie". Ta myśl Amiela stanowi w moim przekonaniu uzasadnienie wspólnotowych instytucji, jeżeli uzasadnienie takie jest w ogóle potrzebne. Kiedy myślę, że Francuzi, Niemcy, Belgowie, Holendrzy. Włosi i mieszkańcy Luksemburga będą poddani wspólnym zasadom i dzięki temu będą tak samo patrzyli na wspólny im wszystkim problem i że wobec tego ich wzajemne relacje ulegną zasadniczej zmianie, powiadam, że dokonaliśmy kolosalnego kroku naprzód w stosunkach między krajami i ludźmi Europy". /.../

Monnet w 1955 roku został przewodniczącym Komitetu Działania na rzecz Stanów Zjednoczonych Europy i wobec tego zrezygnował z pracy we Wspólnocie.

/.../ "W najbliższej przyszłości, bez względu na gwałtowną potrzebę jedności politycznej i znaczenie kroków już dokonanych, nie wydaje się możliwe przeskakiwanie etapów. Przyszła jedność polityczna będzie zależała od skutecznego wprowadzenia jedności gospodarczej w dziedzinie przemysłu, rolnictwa i administracji". Takie empiryczne stanowisko głosi Komitet Działania na rzecz Stanów Zjednoczonych Europy w październiku 1958 roku i było ono zgodne z mądrymi zasadami, które stały u podstaw deklaracji z 9 maja 1950 roku. Czy należało wtedy, kiedy Wspólny Rynek nie był jeszcze otwarty a politykę wspólnoty trzeba było dopiero sformułować, przyjąć postulaty tych, którzy domagali się natychmiastowego powołania federacji? Nie byłem tego zdania i członkowie Komitetu także uważali, że należy posuwać się naprzód drogą z takim trudem wytyczoną i obecnie tak szeroko otwartą: "W miarę jak działanie wspólnoty będzie coraz szersza, związki między ludźmi i solidarność już teraz się rysujące staną się mocniejsze i donioślejsze. Wówczas, sama rzeczywistość pozwoli na stworzenie jedności

politycznej będącej celem naszej Wspólnoty, to znaczy na stworzenie Stanów Zjednoczonych Europy."

Deklaracja ta do dzisiaj zachowała swoje znaczenie i gdybyśmy nawet o niej zapomnieli, okoliczności by ją przypomniały. Czy z tego wynika, że należy oczekiwać powolnego rozwoju faktycznej solidarności i zdać się na automatyzm ewolucji? Naturalnie, że nie i nie to jest napisane w teście z 1958 roku. Sama rzeczywistość pozwoli na stworzenie jedności politycznej Idea jest jasna: Europa polityczna zostanie stworzona przez ludzi, kiedy w pewnym momencie rzeczywistość będzie temu sprzyjała. Kilkakrotnie wprowadziliśmy, że ten moment już nadszedł i że rzeczywistość już "dojrzała", ale to już inna historia, historia nieporozumień, ale i historia dobrej woli. Przyszłość Europy była rozwijana w przeciwstawnych kierunkach przez ludzi mających odmienne wyobrażenia, ale nie sądzę, mimo straconego czasu i wysiłków, by przeczyło to niezbędności samego zjednoczenia. Po prostu koncepcje i metody stosowane były odmienne, ale, jak zawsze, to rzeczywistość powie ostatecznie słowo. To ostateczne słowo jest, jak myślę, właśnie pisane i przypomina ono pierwsze słowa napisane w 1950 roku. Brzmi ono: zrzeczenie się części suwerenności i wspólne decydowanie tymi częściami suwerenności. Nie sądzę, by w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat wynalono jakiś inny sposób na zjednoczenie Europy, mimo wszystkie okazje, kiedy można było skrócić z właściwej drogi.

Ja znałem od początku tylko jedną drogę. Lecz czas posuwania się nią jest nieokreślony. Budowa Europy, jak wszelkie pokojowe usiłowania, wymaga czasu, czasu na przekonanie innych, czasu na przygotowanie umysłów i czasu na przygotowanie rzeczy do wielkiej przemiany. Istnieją ponadto okoliczności, które zakłócają stopniowe przemiany, ale istnieją także okazje im sprzyjające i czy w takich wypadkach należy z nich nie korzystać, ponieważ się nie spodziewaliśmy, że przydarzą się tak szybko? Sytuacja taka zdarzyła się w 1950 roku, kiedy zapadła decyzja uzbrojenia Niemiec. Potrafiłbym wówczas skorzystać i dokonano postępu w sytuacji, która groziła krokiem wstecz w stosunku do ledwie rozpoczętej integracji europejskiej. Jak wiadomo sprawa nie została dobrze przeprowadzona, ale skończyła się niepowodzeniem przede wszystkim dlatego, że debaty trwały nazbyt długo. W 1960 roku okazja pojawiła się znowu niespodziewanie, kiedy to generał de Gaulle 5 września w trakcie konferencji prasowej sformułował następującą propozycję: "Zapewnienie regularnej współpracy w Europie Zachodniej, oto co Francja uważa za pożądane, za możliwe i za praktyczne zarówno w dziedzinie polityki, jak w dziedzinie ekonomii, kultury i obrony." Była mowa o "regularnych, przygotowanych spotkaniach rządów", o wyspecjalizowanych organizacjach podlegających rządowi, o Zgromadzeniu delegatów parlamentów narodowych, wreszcie o "rozległym referendum europejskim."

Zastanawiałem się nie tyle nad zaletami tego projektu pod wieloma względami dalekiego od doskonałości, ile nad nastawieniem duchowym jego autora. De Gaulle przecież nie zrezygnował ze swoich stałych poglądów: "Co jest rzeczywistością Europy? Czym są skłupy, na których można wznieść jej budowlę? W gruncie rzeczy są to państwa... jedyne organizmy, które mogą coś nakazać i które mają władzę działania...". Nie dziwiłem się, kiedy ironizował mówiąc o "pewnych organizacjach mniej lub bardziej pozanarodowych". Ważne jednak było w moim przekonaniu to, że wystąpił z inicjatywą dyplomatyczną i że jej nadał powagę. Jakikolwiek by mieć wątpliwości, co do jej treści, nie można było ignorować tego ożywienia idei europejskiej, z którym de Gaulle związał swój prestiż. Trzeba było możliwie najlepiej wykonać tego zaskoczenia. Dzięki przyjacielskim rozmowom, jakie prowadziłem z Couve de Murvillem od czasu Algieru, mogłem się zorientować, że nadszedł czas wielkiej europejskiej debaty. Miałem nadzieję, że nie będzie to czas wielkiej kłótni. /.../ /S.645-648/.

/.../ Cywilizacja zachodnia potrzebuje Anglii, a Europa potrzebuje stałości i zdolności narodu angielskiego, aby utrzymać ten wkład nie do zastąpienia, jaki wniósł on do cywilizacji. Po raz pierwszy byłem w Londynie w 1905 roku

i potem co roku powracałem tam kilkakrotnie. Przeżywałem tam trudne godziny obu wojen światowych. Pamiętam sławny okres londyńskiego City, kiedy było ono ośrodkiem największej światowej potęgi. Podziwiałem równowagę brytyjskiego imperium i podziwiałem potem jego odwrót przebiegający w takim porządku. Widziałem, jak w ciągu dwóch, trzech stuleci zmniejszała się rola Wielkiej Brytanii, ale nie uczestniczyłem w tym procesie. Gdyby mnie dzisiaj zapytano: "Co zostało z tej niezwykłej Anglii?", odpowiedziałbym: "naród angielski". Naród ten nie opuścił nagle historii. Przejściowe trudności zmniejszyły być może jego wkład, lecz kiedy zostaną one przewyciężone, zobaczymy, że jego zdolności twórcze rozwijające się przez stulecia nie znikną w jednej chwili.

Ze wszystkiego co Anglicy uczynili dla postępu cywilizacji dwie rzeczy wydają mi się najważniejsze: szacunek dla wolności i funkcjonowanie mechanizmu instytucji demokratycznych. Czym byłoby nasze społeczeństwo bez habeas corpus i bez systemu parlamentarnego stanowiącego przeciwwagę dla władzy wykonawczej? Nie wystarczy naśladować przykładu Anglików, trzeba realizować te zasady w codziennej praktyce. Anglia i kraje kontynentalne mają pod tym względem wiele do nauczenia się wzajemnie. Anglicy lepiej pojmują naturę instytucji i sposób posługiwania się nimi. Europejczycy z kontynentu uważają, że to ludzie załatwiają wszystkie sprawy i niewątpliwie ludzie są ważni, lecz bez instytucji nie powstaje nic wielkiego i nie trwałego i Anglicy wiedzą o tym od dawna. Właśnie dlatego, wbrew często wyrażanym opiniom, nie obawiałem się, że wejście Wielkiej Brytanii utrudni działanie Wspólnoty. "Anglicy chcą, żeby rzeczy posuwały się naprzód i kiedy zorientują się, że Europa rozwija się tylko dzięki swoim instytucjom, staną się ich najlepszymi obrońcami, a w szczególności obrońcami instytucji parlamentarnych. Naturalnie Europejczycy także mają parlamenty, lecz tak naprawdę to nie wiadomo, jak dalece potrafiliby sobie przyswoić. Pewien stary człowiek, którego spotkałem w Ameryce powiedział mi: "Uważa pan, że pan coś zrozumiał, kiedy pan to przemyślał, ale zrozumie pan to naprawdę dopiero wtedy, kiedy będzie pan miał to we krwi." Anglicy właśnie mają zasadę działania parlamentu we krwi."/.../ /s.677-679/.

/.../ Przekonać ludzi, aby rozmawiali ze sobą, to maksimum tego, co można uczynić dla pokoju. Niezbędne są także pewne warunki, i to wszystkie równie ważne. Pierwszy, żeby rozmowy były prowadzone w duchu równości i żeby nikt nie zasiadał do stołu z zamiarem wygrania z innymi rozmówcami. Wymaga to rezygnacji z tak zwanych przywilejów władzy i z broni, jaką stanowi veto. Drugim warunkiem jest mówienie na ten sam temat, a trzecim wreszcie, by wszyscy starali się znaleźć wspólną płaszczyznę porozumienia, wspólny im wszystkim interes. Nie przychodzi to w sposób naturalny ludziom, którzy spotykają się, aby rozważać problemy właśnie wskutek sprzeczności interesów między państwami narodowymi. Trzeba ich dopiero skłonić by pojęli i w praktyce stosowali taką metodę postępowania. Doświadczenie nauczyło mnie, że nie wystarcza do tego dobra wola, że niezbędna jest pewna siła moralna, wola wynikająca z reguł formułowanych przez wspólne instytucje, które są nadrzędne wobec jednostek i respektowane przez państwa. Instytucje te są powołane w celu jednoczenia, jednoczenia tego, co już jest sobie bliskie i zbliżenia tego, co jeszcze jest odmienne. Europejczycy zdecydowali się żyć pod władzą tych samych reguł we Wspólnocie, która umożliwia ich tożsamość kulturową i równomierny rozwój. Ze wszystkich tych względów było od początku oczywiste, że Anglia wkrótce do nich dołączy. Taka idea wspólnoty przywraca Europejczykom rolę, jaką utracili na skutek podziałów.

Jaka jest ta rola? Wciąż ta sama: poszukiwać możliwie najszerszych ram współpracy, przyczyniać się do odprężenia między Wschodem i Zachodem stwarzając warunki dla nieustannego dialogu - lecz nie podejmując się arbitrażu ani nie optując na rzecz równowagi sił. Kraje, które zjednoczyły się we Wspólnocie należą do tej samej cywilizacji zachodniej, której zasady przyjęło za swoje także społeczeństwo amerykańskie. Między tymi dwiema wielkimi organizacjami, bliskimi sobie lecz nie identycznymi, możliwy jest stały i zasadniczy dialog przebiegający w ustalonych, demokratycznych formach. Taki był i taki jest cel Partnership, którego narzędzia, to znaczy

Komitet Porozumienia, zostały stwierdzone ponad dziesięć lat temu. Projekt ówczesny dotyczył także równie ważnych dla pokoju światowego stosunków ze Wschodem. Było jednak zarówno dla mnie jak i dla innych członków Komitetu Działania jasne, że forma i treść dyskusji między Wspólnotą i krajami Wschodu, które zresztą nie uznają naszych instytucji, nie mogą być takie same jak w przypadku Stanów Zjednoczonych. A w każdym razie nie mogą być takie same tak długo, jak długo kraje te nie będą prowadziły swego życia publicznego według zasad wolności, na której opierają się nasze demokracje.

Żaden z naszych krajów nie mógł z osobna porozumieć się ze Związkiem Radzieckim i sądziłem, że także zjednoczona Europa nie uzyska trwałego porozumienia z ZSRR, jeśli nie będą po jej stronie stały Stany Zjednoczone, podobnie jak porozumienie Stanów Zjednoczonych z ZSRR nie uwzględniające Europy nie byłoby porozumieniem solidnym. Największym dla wszystkich niebezpieczeństwem było prowadzenie przez Niemcy odrębnych działań w Europie i Wspólnota stwarzała w tej mierze gwarancję, które Związek Radziecki potrafił docenić. Niemcy, wprowadzając swoją przyszłość z narodami zamieszkującymi zachodnią część kontynentu, ale uważali, że ich system obronny musi być częścią bardziej rozległego zachodniego systemu obronnego. To co nazwano "ideą atlantycką" nie było dla nich doktryną, lecz odruchem obronnym. Rozumiałem niepokój tego społeczeństwa bardziej narażonego niż inne, podobnie jak podziwiałem odwagę tych mężów stanu, którzy potrafili zniechęcić Niemców do spełnienia marzenia o zjednoczeniu przez jakieś awanturnicze działanie. Europa była w trakcie dokonywania historycznej zmiany, Europa właśnie, a nie ten czy inny pakt między państwami, lecz nie należało jeszcze izolować się od całościowej koncepcji obrony Zachodu. Problem ten doprowadził do dyskusji najtrudniejszych i często najbardziej nierzeeczywistych, jakie ludzie musieli podejmować. Zamiast jednoczenia pojawiła się tendencja do sporów. Gdyby nie zostało znalezione dobre wspólne rozwiązanie, pewne było, że decyzje narodowe nie posuną naprzód sprawy pokoju.

Od 1964 roku brak było konstruktywnych działań, lecz nie brakowało zderzeń słownych, które nie pozwalały na ustalenie stosunków między Europą a Stanami Zjednoczonymi. Stosunki jakie poszczególne państwa utrzymywały przez Atlantyk ze Stanami Zjednoczonymi mogły jednym skłaniać do poglądu, że Ameryka przystosowała się do milczenia Europy, a nawet uznała je za korzystne dla siebie, innych zaś do złudzenia, że dla dialogu z Waszyngtonem nie jest niezbędna zjednoczona Europa, bowiem, aby być tam usłyszonym wystarczy odpowiednio mocno przemawiać. W gruncie rzeczy wobec braku ustalonych zasad każde państwo na swój sposób, na podstawie praktyki formułowało zasady działania nie troszcząc się o wspólny interes. Ze taki interes istnieje pokazuje choćby to jedno doświadczenie, dotyczące tylko problemów handlowych, a mianowicie dialog między równymi partnerami, jaki stanowiła Kennedy Round. W tym przypadku wyjątkowo Europa przemawiała jednym głosem. Została wysłuchana i obie strony uwzględniły potrzeby strony przeciwnej w szerokim porozumieniu. Z rozmaitych powodów i z winy obu stron nie doszło do rozszerzenia tej metody na całość stosunków między Europą i Stanami Zjednoczonymi. Problem murzyński, wojna w Wietnamie, detante przyciągały uwagę Johnsona i potem Nixona zaś Europa bez końca wahała się czy pogłębiać swoją jedność i czy poszerzyć swoje rozmiary. Niektórzy zazdrośnie dbali o swoją niepodległość, lecz niczego nie czynili, aby jej faktyczne istnienie zapewnić. Jeżeli zaś nagle chciano tę niepodległość umocnić, to tylko w opozycji do Stanów Zjednoczonych, w których polityce dostrzegano tendencje do dominacji. Nigdy jednak nie sądziłem, że te rozbieżności będą trwałe. Kiedy ludzie potrafią zwyciężyć zmienne nastroje, wówczas dostrzegają, że Europa i Ameryka nie mogą lekceważyć wzajemnie swoich problemów i potrzebują jedna drugiej, aby je rozwiązać. Oddzielnie nie mogą skutecznie działać na rzecz światowego pokoju. Wiedziałem, że trzeba będzie poczekać, aż wyobrażenia na ten temat znowu staną się rozumne. /.../ s. 715 - 719/.

/.../ Mówią mi: "Tego roku /1976/ nie będzie jeszcze wiosny dla Europy". Być może, ale nie powinniśmy tak bardzo przejmować się kalendarzem. Trzeba przewidywać etapy rozwoju, ale nie dokładne terminy, trzeba trzymać się jednego kierunku, ale nie należy dokładnie wyznaczać wszystkich punktów drogi. Żaden miesiąc 1976 czy 1978 roku nie ma w sobie nic z procyta i nie mam zamiaru stawiać na jakieś konkretne daty. Jestem natomiast przekonany, że stopniowo poruszamy się w kierunku coraz większej jedności i jeżeli nie będzie to jedność przez nas samych zorganizowana, to możemy zostać przymusowo zjednoczeni. Jeżeli nie będzie to jedność rządzona demokratycznym prawem, to będzie to jedność narzucona przez brutalną siłę. Tak czy owak nie ma już miejsca dla odrębnego działania naszych dawnych niezależnych państw narodowych. Przecież już dawno minęliśmy skrzyżowanie, na którym można było dokonać wyboru jednej z licznych dróg. W 1950 roku podjęliśmy proces dobrowolnego zjednoczenia się, którego nikt potem nie mógł poddać w wątpliwość. Dyskusje dotyczą jedynie form i są niezbędne dla dalszego postępu /.../.

Korzenie Wspólnoty są obecnie mocne i sięgają głęboko w głąb Europy. Przetrwają przez okresy złej pogody i przetrwają nadal. Patrząc powierzchownie widzi, że wszystko ulega zmianie, bo przecież jest całkiem normalne, iż po dwudziestu pięciu latach przychodzi nowe pokolenie z odmiennymi ambicjami, iż obraz przeszłości ulega zamazaniu, a równowaga świata jest stwarzana na nowo. Kiedy jednak w tej scenerii widzimy trwałość dążeń europejskich i stabilność instytucji Wspólnoty, nie możemy wątpić, że mamy do czynienia z potężną, głęboką tendencją, na miarę historycznych epok. I czyż można powiedzieć, że siły, które stały u początków tego ruchu, wyczerpały się i zostały zastąpione przez siły całkowicie odmienne? Nie widzę żadnych oznak takiej odmienności. Przeciwnie, dostrzegam tę samą konioczność ujawniającą się w zdarzeniach wstrząsających naszymi krajami, czasem powodującą korzystne wzajemne zbliżenie między nimi, kiedy indziej doprowadzającą do podziałów szkodliwych dla wszystkich. Stąd wynika jasna i ważna nauka. Przyjmują ją społeczeństwa, lecz wolniej decyduje do ośrodków podejmujących decyzje, gdyż musi przezwyciężyć opór stawiany przez bierność ruchowi, przez przyzwyczajenia - zmianie. Lecz czas zwycięża.

Nie wiem ku jakim formom ostatecznym, ku jakiej Europie wiedzie nas ta konieczność, nie można bowiem wyobrazić sobie dzisiaj decyzji, jakie zostaną podjęte w kontekście nieznannej nam przyszłości. Najważniejsze, by trzymać się kilku ustalonych punktów, które by znaczyły nasz szlak od początku: stwarzać stopniowo pomiędzy ludźmi zamieszkującymi Europę sytuację wspólnoty interesów regulowanych przez wspólne instytucje demokratyczne, którym została delegowana niezbędna część suwerenności poszczególnych państw. Dynamika ruchu w tym kierunku działa nieustannie, przekłamuje przesady, przekracza granice, rozszerza w ciągu kilku lat do rozmiarów kontynentu procesy, które przez stulecia kształtowały nasze państwa. Nigdy nie wątpię, że procesy te doprowadzą w przyszłości do powstania Stanów Zjednoczonych Europy, ale nie próbuję wyobrazić sobie teraz konkretnych kształtów politycznych, posługując się tymi tak nieprecyzyjnymi słowami, jakie stanowią przedmiot sporów, słowami federacja i konfederacja. To co stwarzamy poprzez działanie Wspólnoty prawdopodobnie nie ma precedensu. Wspólnota opiera się jak na razie na instytucjach, które powinny ulec wzmocnieniu, a przecież prawdziwa władza polityczna, jaką przyjmą demokracje europejskie nie została jeszcze zaplanowana ani tym bardziej stworzona.

Kto nie chce podjąć działania, ponieważ obawia się, że rzeczy nie potoczą się dokładnie tak, jak to sobie wyobraził, ten skazuje się na bezczynność. Nikt nie może dzisiaj powiedzieć, jaką formę przyjmie Europa, w której będziemy żyli w przyszłości, gdyż nie można przewidzieć zmiany, która będzie konsekwencją innych zmian. "Jutro będzie nowy dzień" mówił mój ojciec z zapałem, który w swej mądrości moja matka starała się temperować mówiąc "Każdy dzień przynosi swoją porcję smutku..." Oboje mieli rację. Posuwać się trzeba naprzód z dnia na dzień, ale najważniejsze to wiedzieć dokąd się zmierza, aby nie zgubić drogi. Odwiedzający mnie w moim biurze w Luksemburgu byli zaintrygowani stojącą na biurku fotografią dziw-

nej traktaty. Była to Kon-Tiki, której przygodami pasjonował się cały świat a która dla mnie stanowiła symbol naszego przedsięwzięcia."Ci młodzi ludzie - tłumaczyłem moim gościom - wybrali kierunek podróży, a potem wyruszyli wiedząc, że nie będą mogli zawrócić. Jakikolwiek byłyby trudności, mogli czynić tylko jedno: posuwać się dalej naprzód. I my także zmierzamy ku naszemu celowi, ku Stanom Zjednoczonym Europy i obraliśmy kurs, z którego nie możemy zawrócić."

Mija jednak czas, a Europa powoli bardzo posuwa się drogą, na którą wkroczyła z takim zaangażowaniem... Nie możemy się zatrzymać, kiedy wszysko wokół nas jest w ruchu. Czy udało mi się wytłumaczyć, że Wspólnota, którą stworzyliśmy nie jest celem sama w sobie? Stanowi ona pewien etap przemian, etap kontynuujący poprzednie, dokonane we wcześniejszych okresach historii. Jak niegdyś poszczególne prowincje i regiony, tak dzisiaj całe narody powinny się nauczyć wspólnie żyć poddane wspólnym zasadom i instytucjom, na które dobrowolnie przystały, powinny, jeżeli chcą osiągnąć wymiary niezbędne dla postępu i zachować w swoim ręku władzę nad swoim losem. Suwerenne narody z przeszłości nie stanowią już ram, w których można rozwiązać problemy teraźniejszości. A i sama Wspólnota stanowi tylko etap na drodze ku formom organizacji świata jutra. /s.789-794/

Ostatnie Publikacje Polskiego Porozumienia Niepodległościowego

12. Oświadczenie Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, grudzień 1977
13. Stan moralny społeczeństwa PRL /Zespół Problemowy PPN/, grudzień 1977
14. Prognozy Chochoła /Chochoł/, styczeń 1978
15. Program dla polskich rodzin /Zespół Problemowy PPN/, styczeń 1978
16. Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego /powtórzenie publikacji z maja 1976/, luty 1978
17. Pijaństwo w Polsce /przedruk - Zespół Problemowy PPN/, marzec 1978
18. Polska a Niemcy /Zespół Problemowy PPN/, maj 1978
19. Niemcy, Polacy i inni /Czwórka/, maj 1978
20. Tradycja niepodległościowa i jej wrogowie /powtórzenie publikacji z marca 1977/, czerwiec 1978
21. Posłanie Wiciarzy /Antoni Gurnicz/, sierpień 1978
22. Mieczysław Niedziałkowski /Ignacy Wilczek/, wrzesień 1978
23. Dwa oblicza Romana Dmowskiego /Krzysztof Chmielewski i Magda Wiśniewska/, październik 1978
24. Gospodarka na manowcach /Jerzy Barzecki/, październik 1978
25. 1918-1978 /Oświadczenie Polskiego Porozumienia Niepodległościowego/, listopad 1978
26. Odzyskanie niepodległości w 1918 r. /Poradnik Społeczny PPN/, listopad 1978
27. Paradoksy sowietyzacji /Chochoł/, grudzień 1978
28. Rachunek naszych słabości /powtórzenie publikacji z września 1977/, listopad 1978
29. Aleksander Zinowiew -fragment powieści "Swietlana przyszłość", luty 1979
30. Feliks Perl /Ignacy Wilczek/, marzec 1979
31. Co się stało z narodami bałtyckimi? /Andrzej Albert/, marzec 1979
32. Polacy - Żydzi /Zespół problemowy PPN/, kwiecień 1979
33. Granice posłuszeństwa /Zespół Problemowy PPN/, maj 1979
34. Po co partii potrzebna jest partia /Lwowski/, sierpień 1979
35. Program dla polskich rodzin /powt. publ. ze stycznia 1978/, wrzesień 1979
36. Polska i Europa /Zespół Problemowy PPN/, listopad 1979
37. Starobielsk czy Dergacze? Drugi Katyń /Antoni R. Rekułski/, styczeń 1980
38. O stosunkach z Niemcami raz jeszcze /Zespół Problemowy PPN/, luty 1980
39. O wyborach do sejmu PRL /Zespół Problemowy PPN/, luty 1980
40. Wschodnie granice Polski /Andrzej Albert/, marzec 1980
41. Szkolnictwo artystyczne w PRL /Zespół problemowy PPN/, maj 1980
42. Ignacy Daszyński /Stanisław Gran i Ignacy Wilczek/, czerwiec 1980

43. List Andrieja Sacharowa, lipiec 1980

44. Kościół i Państwo po wyborze Jana Pawła II /Zespół Problemowy PPN/,
lipiec 1980



W. Płocka-Wienbicka
N-wa 2.04.87.